



Jan Mela z uczniami Publicznego Gimnazjum nr 2 w Staszowie

Wywiad z Janem Melą przeprowadziły: Luiza Halota, Maja Toporowska i Julia Orzechowska - uczennice Publicznego Gimnazjum nr 2 w Staszowie.

Jak zmieniło się Twoje życie po wypadku?

Diametralnie. Wszystko wywróciło się do góry nogami. Przez długi czas w ogóle nie wierzyłem w to, że będę mógł wrócić do jakiejś aktywności życiowej, do tego, żeby żyć normalnie czy spełniać swoje marzenia. Zwłaszcza przez początkowy okres po wypadku, kiedy krok po kroku widziałem, jak zmieniło się moje życie. Na początku mnie to bardzo przerastało i był to niezwykle trudny okres w moim życiu.

Jak najbliżsi zareagowali na to, co Cię spotkało?

Miałem bardzo duże wsparcie otoczenia i moich rodziców, którzy byli ze mną szczerzy we wszystkich rozmowach i niczego przede mną nie ukrywali. Duże doświadczenie psychologiczne mojej mamy dużo mi pomogło. Miałem wypadek w lipcu, a potem przez parę miesięcy miałem nauczanie indywidualne. Było to dla mnie strasznie wkurzające, bo w końcu przychodzi do ciebie nauczyciel i nawet nie ma opcji, że zapyta kogoś innego. Bardzo mi się to nie podobało i marzyłem, żeby wrócić do szkoły, mimo że bałem się tego powrotu. Jednak już wcześniej odwiedzali mnie moi koledzy i koleżanki, którzy byli dla mnie dużym wsparciem. Po powrocie do szkoły widać było, że starają się mnie traktować normalnie.

Kto najbardziej Cię wspierał i motywował do walki?

Na pewno byli wtedy najważniejsi rodzice zwłaszcza, że będąc przez trzy miesiące w szpitalu, po pięćdziesięciu operacjach, głównie w odizolowanej sali pooperacyjnej prawie nikt nie mógł mnie odwiedzać. Odwiedzali mnie tylko rodzice. Bez nich bym sobie nie poradził. To ich obecność, na dobre i na złe, była najważniejsza. Było to dla mnie bardzo ważne również dlatego, że byłem na bardzo silnych lekach - morfinie, która wprowadza człowieka w odmienny stan świadomości.

Co według Ciebie oznacza „nie poddawać się”?

Nie uważam, że człowiek nigdy nie powinien się poddawać. Można narzekać. Ważne jest jednak to, żeby to było przez chwilę. Sam się często poddaję na chwilę, jednak potem stwierdzam, że to do niczego nie prowadzi. Można się poddawać, ale wtedy człowiek nic nie osiąga. Nie mówię tu o jakiś wielkich osiągnięciach. Nawet drobne rzeczy wymagają wytrwałości. Pod tym względem wyprawy na bieguny mi pomogły. Nauczyły mnie tego, że nawet codzienne rzeczy wymagają konsekwencji.

Czy miałeś momenty załamania?

Miałem i... czasem mam. Każdy człowiek je miewa. Podejmując się czegoś tak wielkiego jak wyprawa na biegun, też miałem momenty, w których myślałem, że to się nie uda, że nie warto. Nawet podczas wyprawy myślałem, żeby jednak zawrócić, ale miała ona dwa wymiary. Nie chodziło tylko o to, żeby po prostu wejść sobie na ten szczyt, ale też o to, że wielu ludzi na nas liczy i potrzebuje przykładu. Że ta wyprawa jest nawet ważniejsza dla nich niż dla nas samych. Zależało mi na tym, żeby wesprzeć mentalnie innych, żeby pomyśleli, że skoro nam się udało wejść na biegun, to im też uda się przezwyciężyć ich problemy. Poza tym byliśmy czteroosobową grupą: Marek Kamiński, Wojtek Ostrowski, Wojtek Moskal i ja, ale lista osób, bez których ta wyprawa by się nie odbyła, jest bardzo duża. Nasi przyjaciele, rodziny, lekarze, sponsorzy, trenerzy, ludzie, którzy z nami nie wędrowali, ale gdyby ich zabrakło, to by to wszystko się nie udało. Wiedziałem, że jeżeli w którymś momencie to zignoruję, to zmarnuję pracę tych wszystkich osób.

Jakie były Twoje pierwsze wrażenia po obejrzeniu filmu „Mój biegun” i dlaczego zgodziłeś się na sfilmowanie swojej historii?

Wrażenia były trudne, bardzo, bo to jednak nie jest codzienne przeżycie, kiedy oglądasz na dużym ekranie coś, co jest częściową kalką twojego życia. Dużo czasu spędziliśmy wcześniej ze scenarzystami filmu, więc bardzo wiele tekstów, które się pojawiają w filmie, to cytaty wypowiedzi: moich, mojego taty, mojej mamy. Kiedy więc patrzyłem na ekran i na grającego mojego tatę Bartka Topę, który może nie wygląda tak jak on, ale ma podobny temperament, i mówi dokładnie tekst mojego ojca, to robi wrażenie. To jest bardzo trudne przeżycie, ale z drugiej strony mam mieszaną ocenę tego filmu, nie jest to żadne arcydzieło. Uważam, że to jest średni film. Na początku bardzo nie chcieliśmy się zgodzić na jego realizację, baliśmy się jednowymiarowości. Natomiast scenarzyści przekonali nas do tego, że warto, bo to właściwie nie jest moja historia, tylko historia trudnej relacji ojca z synem. Pomyślałem sobie, że to może komuś pomóc.

Było w tym filmie coś, co nie zgadzało się z rzeczywistością?

Jest parę takich fragmentów. Przede wszystkim scena, kiedy mój tata jedzie do Marka Kamińskiego, żeby go zapytać, czy zabralby mnie na wyprawę na biegun. To w rzeczywistości wyglądało zupełnie inaczej. Pomyśl był Marka i jego przyjaciół, moi rodzice w ogóle nic takiego nie proponowali.

Co Cię skłoniło do wyprawy na obydwa bieguny?

Przy pierwszej wyprawie chęć udowodnienia sobie, że dam radę, że jestem coś wart. Dopiero po wyprawie zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że wszystko, co robimy, ma jakieś przełożenie na innych ludzi, że media to narzędzie, które można wykorzystywać też w dobrych celach. Nie ukrywam, że pierwszą wyprawę potraktowałem egoistycznie, na zasadzie: zobaczę, czy dam sobie radę, zrobię coś wielkiego, udowodnię coś światu. Teraz już nie mam takich zamiarów, celów czy ambicji. Wtedy ważne dla mnie było pokazać wszystkim tym, którzy patrzą na mnie przez pryzmat litości, że jestem normalnym chłopakiem.

W ciągu najbliższych lat planujesz jeszcze jakieś wyprawy?

Tego nie wiem, to czas pokaże. Czas, który jest moją największą przeszkodą. Bardzo mi się marzy wyjazd na Islandię i dłuższa podróż na krańce Syberii - do Jakucji. Chciałbym pojechać tam na jakieś 2-3 miesiące, ale ciężko będzie dostać urlop.

Czym dokładnie zajmuje się Twoja fundacja „Poza Horyzonty” i co przyczyniło się do jej powstania?

Fundacja powstała prawie 8 lat temu, dlatego że podczas różnych spotkań, które od wielu lat prowadzę, widziałem mnóstwo fajnych osób, które mimo niepełnosprawności świetnie sobie radzą, rozwijają swoje pasje, spełniają się zawodowo czy sportowo. Poznałem również wiele osób, które takiego szczęścia nie miały, bo zabrakło im inspiracji czy wsparcia finansowego. I takim ludziom też warto pomóc. To często przypadek decyduje o tym, po której stronie barykady się znajdujesz; nawet jeśli nie przypadek, to ludzie, którzy są obok ciebie. Gdybym sam nie spotkał inspirujących ludzi, to na pewno dzisiaj inaczej wyglądałoby moje życie. Pomagamy osobom po amputacjach, różnych chorobach, wypadkach, czasem niepełnosprawnym od urodzenia, po pierwsze zbierając pieniądze na protezy i rehabilitację, ale też coraz bardziej skupiamy się na wsparciu psychologicznym, na zabieraniu ludzi na wyprawy integracyjne, wyciąganiu ich z domu, pokazywaniu, że niepełnosprawność nie musi oznaczać końca świata. Zazwyczaj najtrudniej pracuje się nad czyjąś głową, a nie nad rękami czy nogami.

Spotykasz się z dyskryminacją osób niepełnosprawnych?

Nie wiem nawet, ciężko to ocenić, nie zależy mi na tym. Kiedy czymś się przejmujesz, to zwracasz na to bardziej uwagę. Dawno temu odkryłem, że jeżeli masz coś, czego w sobie nie akceptujesz, czego się wstydzisz i próbujesz to ukryć, to dużo bardziej ludzie zwracają na to uwagę. Mnie się czasem zdarza, że mija trochę czasu, zanim ktoś zauważy, że nie mam ręki. Znajomi mi mówią, że im bardziej normalnie traktuję siebie, tym mniej zwracam na to uwagę. Jeżeli człowiek sam siebie akceptuje i taktuje siebie jako normalnego, to inni ludzie też tak go traktują. Myślę, że nie ma dużego problemu dyskryminacji osób niepełnosprawnych, chociaż na pewno trudno jest im znaleźć pracę, ale to się wszystko zmienia i to w bardzo dobrym kierunku.

Jak to jest być wzorem dla wielu osób?

Nie wiem, bo ja staram się w swoim życiu bardzo mocno oddzielać, jak to powiedzieć, siebie i swoją wizję od pracy. Mam specyficzną pracę, ja to nazywam takim ekshibicjonizmem emocjonalnym. Wychodzisz na scenę przed obcych ludzi i opowiadasz o swoich tragediach życiowych, o swoich sukcesach, o różnych rzeczach. Traktuję swoje doświadczenie życiowe i swoją historię jako narzędzie pracy, bo uważam, że konkretne przykłady z życia dają dużo więcej niż te obce. Jest to bardzo dziwne uczucie, być uważanym za wzór, bo ja się tak nie czuję, ponieważ mam tyle swoich problemów, popełniam tyle błędów, w tylu rzeczach jestem niezdarny i nieogarnięty, że kłóci się jedno z drugim. Ale z drugiej strony, jeżeli tak jest, to próbuję z tego wyciągnąć coś dobrego. Trzeba jednak próbować walczyć o swoją pokorę i skromność.

A jakie masz zainteresowania ?

Bardzo lubię fotografię, więc cieszy mnie, kiedy mogę porobić trochę zdjęć. Lubię ludzi i lubię z nimi rozmawiać, a fotografia też jest rozmową. Bardzo mnie interesuje fotografia portretowa, której się uczę, bo ona jest strasznie trudna nie tylko ze względów technicznych, ale ze względu na to, że robienie komuś zdjęć to nie jest obrazek, który zapisuje się na matrycę, to nie jest tak naprawdę ktoś, czyjaś sylwetka, czyjaś twarz. Próbuje robić komuś zdjęcie, fajnie jest dobrać sobie osobę z jakąś ciekawą mimiką czy inną cechą wyglądu, ale najciekawsza fotografia portretowa jest wtedy, kiedy nie robisz zdjęcia twojej buzi, twoich włosów, tylko czegoś, co jest pomiędzy nami. To jest

najtrudniej uchwycić w fotografii. Lubię też chodzić po pustostanach, na przykład po waszym kinie trochę łąziłem. Wspinaczka górską to też jest taka moja zajawka. Lubię też slackline - to jest jak chodzenie po linie, to taśma, która ma 2,5 cm i napina się ją między drzewami, a chodzi się bez żadnej tyczki.

Co Cię nakłoniło do wzięcia udziału w programie „Taniec z gwiazdami”?

Trudne pytanie. Podobnie jak w przypadku filmu, czyli to, że nawet w nieprzyjaznych warunkach, jakie panują w show-biznesie, można przemycić coś swojego, przekonać ludzi do czegoś, pokazać, że mimo słabości, trudności, można się nie poddawać. Ja tę przygodę wspominam bardzo źle, bo nie lubię telewizji, nie lubię show-biznesu, nie lubię uganiania się za kamerą, a to trochę na tym polega, na ciągłym sprzedawaniu siebie. Dla mnie to jest pewien rodzaj pracy przynoszącej pieniądze, które wiele znaczą dla fundacji. Dużą część pieniędzy z tego, co zarabiam na szkoleniach jako trener motywacyjny, przekazuję na fundację, żeby mogła działać. Chciałbym pracować z samymi pasjonatami, ale nie zawsze tak jest, dlatego trzeba się czasem godzić na pewne ustępstwa; niektóre z nich są za duże. Występ w „Tańcu z gwiazdami” był dla mnie przeżyciem.

Kto jest Twoim autorytetem?

Ja nie mam autorytetów, jakichś konkretnych, znanych osób, jakichś sław. Czasem mi imponują autorzy niektórych książek, jak np. Antoine de Saint-Exupéry, który napisał *Małego Księcia* czy *Ziemię, planetę ludzi*, albo Anthony de Mello, wschodni myśliciel, którego książki też mi imponują. Ja mało czytam, zdecydowanie za mało, ale uważam, że to bardzo pomaga. Nie mam więc autorytetów na zasadzie, że jestem zapatrzony w tę czy inną postać, ale książki to ważna rzecz.

Dziękujemy za wywiad.



Autorki wywiadu Maja Toporowska, Julia Orzechowska i Luiza Halota